

Rafał Pokrywka

Via Alpina

PODRÓŻ UBOGICH DO FABRYKI ŚMIERCI

(Thomas Bernhard, David Wagner)

„Mieliśmy tu do czynienia z pracującą bez przerwy, intensywnie i bezwzględnie fabryką śmierci, która nieustannie otrzymywała i przerabiała nowe surowce¹”. Tak wspomina Thomas Bernhard swój pobyt na oddziale chorób płucnych, w rzeczywistości w sali umierania. Jego słowa przenoszą nas w świat bezwzględny, choć nie taki, w którym normy życia codziennego przestają obowiązywać, lecz w którym reguły ludzkie funkcjonują w innych kontekstach. To nie jest „inny świat”, naznaczony okrucieństwem, ani post-oświeceniowy koszmar, ani średniowieczna wizja tańca, gdzie śmierć zrównuje stany i płci. Sala śmierci jest u Bernharda miejscem wielkiego miłosierdzia okazywanego chorym, tyle że jest to miłosierdzie o znacznie słabszym ostrzu. Tu umiera się codziennie, nie ma więc powodów, by każdorazowo nadawać temu wydarzeniu wyjątkową rangę. Można tylko sobie wyobrazić, a nie trzeba do tego wielkiej wyobraźni, że w istocie żywioł zewnętrznej „normalności” przebija się do hermetycznego kręgu śmierci wyłącznie przez obecność bliskich czekających gdzieś obok na odejście tej jednej osoby. Tutaj żal i rozpacz znajdują swoją domenę, lecz nie mają przystępu do rejonów wysokich, w których umiera się tak chętnie, a ludzkie życie budzi statystyczną jedynie zadumę.

Z ironią piszę o „wysokich” sferach umierania, bo przecież trudno wyobrazić sobie większą trywialność niż tę z fabryki śmierci, tym niemniej znający Bernharda, a szczególnie jego kilka małych, podobno autobiograficznych opowiadań, pochylają się nie od dziś nad związkami tychże z *Czarodziejską górą*. To tam właśnie, paradoksalnie przez usta Naphty, który ludzkie życie mierzył raczej wątlą miarą, wygłoszone zostają uwagi o godności człowieka chorego. Kto zabiega o wyzdrowienie, dąży w rzeczywistości do zezwierzęcenia (*Vertierung*), utraty ludzkiej godności ukrytej w cierpieniu, mówi. Mało tego: geniusz, który stoi za wszelkim postępem, jest geniuszem chorym, bo tylko taki może być w istocie swej nadludzki. Naphta czyni tu kuriozalny krok od choroby cielesnej do psychicznej, w kierunku obłądzenia (*Wahnsinn*), krok śmiały, który spodobałby się Bernhardowi, uznającemu wszelką chorobę za skazę ducha. Ta tradycja pisania o chorobie jako błogosławieństwie jest stara jak Hiob, w nowoczesności mogła objawić się w pełni dopiero nakarmiona miazmatami Nietzschego, a poniekąd zabawną głosem znaleźć pośród balsamów współczesnego chrześcijaństwa, nieskorego już dopatrywać się w niej kary za grzechy, lecz symptomu godności właśnie.

¹ *Oddech. Decyzja* w tłumaczeniu Sławy Lisieckiej.

Z tej tradycji wypisał się David Wagner książką *Leben (Życie)*, okrzykniętą wydarzeniem literackim roku 2013, nagrodzoną Preis der Leipziger Buchmesse i wydaną w nakładzie większym niż jeden. Rzut oka na okładkę i przekonujemy się, że książka będzie o wyzdrowieniu. Piszący chce wyzdrowieć dla siebie i swojego dziecka. Nie ujmując w niczym tragedii człowieka zaczynamy się obawiać, że to kolejna rzecz z cyklu „Byłem chory, ale dałem radę. Życie jest piękne”. Obawy te są po części usprawiedliwione, zalew świadectw o zwycięstwie nad chorobą jest dziś jednym z fenomenów kultury popularnej, rosnącym w siłę proporcjonalnie do postępującego zaniku prywatności celebrytów (również, a być może zwłaszcza tych chorujących) i wzrostem lęku przed tym i owym morem cywilizacji. W takim popularnym dyskursie choroba jest elementem na wskroś obcym i wrogim, domagającym się walki i przewyciężenia, heroiczne z nią zmagania dają kanwę dla długich opowieści, których zwroty akcji nie ustępują w niczym literaturze rozrywkowej. Pojawia się tutaj to samo nieprzyjemne uczucie tabu towarzyszące lekturze świadectw z obozów koncentracyjnych, gdzie pod naskórkiem okropieństw wyczytujemy chęć szokowania i dwuznaczne zabiegi wydawców żądnych zarobku². Zarzuty to nieblahe, mówimy w końcu o świadectwach egzystencjalnych położonych w poprzek literatury, które, jakkolwiek nierzadko przeciętne stylistycznie, skrywają intencje pozaliterackie i pozarynkowe z pragnieniem terapii na czele.

Wróćmy do Wagnera. Zarzut stylistyczny nie może mieć miejsca, tego ka-zały już spodziewać się wcześniejsze, dobrze przyjęte teksty pisarza. Świadectwo egzystencjalne ugruntowane jest tutaj na przeżyciach związanych z transplantacją wątroby, co w przewrotnej grze słownej sugeruje sam tytuł (*Leben – życie, Leber – wątroba*). Zaslugą Wagnera jest daleko posunięta metaforyzacja doświadczenia, pozwalająca otrząsnąć się ze znamion prostej „życiowości”, namysłu nad chorobą jako wrogiem:

Budzę się i nie wiem, gdzie jestem. Rura tkwi w moim nosie, świeże, chłodne powietrze, górskie powietrze z posmakami, wpływa do mojego wnętrza. Na wpół zamrznięty leśny potok pluska pomiędzy wysokimi jodłami, śnieżnobiałe trawy lśnią w słońcu – najwidoczniej wyobrażam sobie zdjęcie z kalendarza. Słyszę jęk i chaos głosów, słyszę, jak kapie i szeleści i czuję rękę na moim lewym ramieniu, chwyta, tak, trzyma mnie, trzyma mnie mocno – i zaraz po tym puszcza. To nie ręka, zauważam prędko, to automatyczny aparat do pomiaru ciśnienia z mankietem, który nadmuchuje się co piętnaście minut, mierzy ciśnienie, zapisuje je i znowu wiotczeje. Brzmi, jakby ktoś dmuchał w materac. Na tym dmuchanym materacu wypływam w morze.³

Śpię w kabinie zewnętrznej, w ścianie pokładu iluminator, widzę wodę, dużo wody, czasem przeciąga obok wyspa, wynurza się U-Boot, pędzi przed siebie góra lodowa albo samotny pływak, który już prawie się poddał. To musi być przeszłość.

² W literaturze austriackiej ten kłopotliwy temat rozpoznał Robert Schindel w książce *Gebürtig* (polskie tłumaczenie *Rodowody* Jacka S. Burasa). Odwagę tego typu należy być może tłumaczyć słabym zakorzenieniem tejsze literatury w martyrologii obozów.

³ D. Wagner, *Leben*, Reinbek b. Hamburg 2013, s. 15, przeł. R. Pokrywka.

Zaokrętowałem się, jestem na pokładzie, droga wiedzie przez mój pokój szpitalny, od poduszki do szafki nocnej, od szafki nocnej do szafy ściennej, od niej do stołu, na krzesło, pod okno, do łazienki, do telewizora, po ścianie i dalej. Jestem w podróży, w łóżku wyjeżdżam na zewnątrz, pchany przez obcych, choroba to wielka podróż, *le grand tour*, do świata podziemnego i być może z powrotem. Choroba jest czasem nieobecny, jest, czyż gdzieś tego nie przeczytałem, podróżą ubogich.⁴

W tej podróży dokonują się rozliczne transgresje, bodajże największa ideowa zaleta książki. Kim jestem, gdy wyzdrowiałem? Kim, gdy nie muszę już przyjmować otępiających, wyniszczających leków? W jakim stopniu dawca organu żyje we mnie, w ilu procentach pozostałem sobą? Ów ładunek antropologiczny – refleksja nad kompletnością organizmu i wynikającą z niej tożsamością osoby – nie może zostać zredukowany do miałkiego efekciarstwa literatury szpitalnej, z dwóch powodów. Po pierwsze, prostolinijna literatura szpitalna nie zna problemu tożsamości, ja jestem ja, a choroba polaryzuje się w Innego, którego muszę zaakceptować tylko po to, by z nim wygrać. Drugim problemem jest nieciągłość narracji w obliczu zaburzenia tożsamości. Spróbował tego Mrozek w *Baltazarze*, niepotrzebnie chyba mnożąc konstrukty osobowości (tytułowy Baltazar), bo w końcu i tak pisał jako on. Wagner czuje ten problem i jest niepewny. To jest literatura wielkiej niepewności, temu odpowiada forma (zamiast wielkiej narracji 277 epizodów z „życia choroby”) i zamiar – spisanie przymusowej autobiografii do momentu przeszczepu jako nowego początku. Dziwić by mogło, skąd te liczne opowieści o kobietach i podróżach, bo to one obok obrazków klinicznych latają dość już dziurawą akcją książki. Najwidoczniej bycie chorym to również czas przypominania, bilansów i niedopowiedzianych pożegnań, jako że powrót z tej podróży nie jest pewny.

Ta „podróż ubogich” to Charles-Louis Philippe, jego pomysł na określenie choroby, z której rzekomo wraca się „bogatszym” w doświadczenie. Stąd te morskie metafory przewijające się przez cały tekst Wagnera. Za tym stoi zapewne cały kompleks motywów wędrówki, instytucjonalny bagaż kultury, niekoniecznie tej nowoczesnej i chorobotwórczej, zrobić krok w jego kierunku, to wzbudzić falę o tyle trafnych, co oczywistych interpretacji. Odyseja chorego (poprzestańmy na tym) musi wieść poprzez zakamarki pamięci i, co ciekawe, poprzez ciało pamiętające nierzadko jeszcze więcej. Blizny i szwy, znamiona i obrzęki, oto topografia choroby czyniąca ze mnie w rzeczy samej kogoś innego. Poruszające są fragmenty, gdy Wagner wyznaje, jak to jest nie czuć zmęczenia po raz pierwszy od niepamiętnych już czasów. To zmęczenie, objaw zażywania ogromnej ilości leków hamujących rozwój choroby, było przecież nieodłączną częścią jego życia, ten stan lekkiego oszołomienia, otępienie na niektóre bodźce, z których większość i tak pewnie przegapił, niewrażliwość na kolory, to wszystko znika, lecz odrodzenie w nowym ciele ze starym duchem (czy aby na pewno?) jest onieśmielające. Nie znajdziemy tu apologii choroby na miarę Thomasa Manna, nigdy nie była ona błogosławieństwem, lecz

⁴ Tamże, s. 26, tłum. R.P.

próżno również doszukiwać się u Wagnera mityzacji walki o przeżycie za wszelką cenę. Taka walka domagałaby się godnej ramy, a przecież nieśmiałe impresje autora, pisane z dystansem sugerującym w swej krańcowej formie jakiś fałsz, nie mają szans udźwignąć samego problemu transplantacji jako przemiany. Nie ulega wątpliwości, to jest książka pisana przez chorego, z jej fragmentarycznością daleką od roszczeń szpitalnego realizmu, z jej śmiesznymi przenośniami. W ogóle jest to książka śmieszna, a ten chory to taki pajacyk rozpięty pomiędzy jednym a drugim wszechświatem, uniwersum normalnych i fabryką śmierci, ze wzrokiem wbitym w pępek, za którym już tuż tuż wątroba.

Co stanowi o wielkości tej książki? Chciałoby się rzec, że jest w niej jakaś szczerłość, ale kto by tam wierzył świadectwom wysłanym do publikacji. Może prędzej: naiwność, jakaś taka bezbronność, z jaką obnażył się chociażby Mrozek we wspomnianym, najbardziej intymnym ze swoich tekstów, patrzcie, oto ja pisarz i mój warsztat, ale tym razem nie na żołdzie fikcji i idei, lecz we władaniu dziecka. Oni są dziecinni, ci chorzy, być może choroba spycha z powrotem w mroki antropogenezy, być może te rureczki i śliniaczki, całe to mordercze laboratorium wyciskania życia z (a może wciskania do) mikrogo organizmu to miałby być powrót do krainy dzieciństwa, sentymentalny come back na dmuchanym materacu z iluminatorami jak u Verne'a.

A więc Bernhard to była jednak literatura bohatera. Nowoczesna, z jedną podstawową, życiową, a może właśnie zabójczą myślą o przetrwaniu. W fabryce śmierci trzeba umieć oddychać, nie jest to łatwa sztuka, w końcu jesteśmy wśród gruźlików. Heroizm zmagania z oddychaniem (przypomnijmy tytuł: *Oddech. Decyzja*) wydaje się gigantyczny na tle Wagnerowskich podróży, może dlatego, że tu choroba inna, jakby bardziej wstydliva, umniejszona przez to leżenie, gdzie tam wątrobie do płuc. Z wątroby bierze się tylko melancholia, jeśli wierzyć dawnym Paracelsusom, Bernhard to zimne powietrze sanatoriów, to alpejski nieludzki eter wypełniający piersi, zabijający nienawykłych, Wagner to szpitalne łóżko, bryza serwowana z rury i jakieś bulaje w malignie, to pytanie, kim jestem, którego Bernhard sobie nie zadaje, bo definiuje się przez sam akt oddychania, czytaj: przeżycia. Dziwny to temat somatycznych związków choroby z pisaniem, jakże różny u tych dwóch autobiografów. A jednak obydwu udaje się nie pójść drogą najprostsza. Ich choroby to tylko punkt wyjścia, od nich wszystko się zaczyna. Podróż zaczyna się od bezlitosnego uświadomienia sobie ich roli w życiu i już samo to jest wyzwalającym przewyciężeniem, jakże niebohaterskim u Davida Wagnera. Pewnie dlatego tak poruszającym.

Rafał Pokrywka